

Relacje Trezy Okrękiej
nr. 19171.

z domu Nienciołowicz

II/1084

ARESZTOWANIE:

Niewykluczone, że jestem ostatnią żyjącą osobą - świadkiem, który przeżył straszny koszmar Starej Wilejki. Więziennicze kazamaty pamiętające caraty, sięgające wstecz do powstań narodowych - a których dziedzictwo w jego najokrutniejszej formie przyjęło wszechwładnie w tamtym ponurym czasie NKWD.

Do dziś nie sposób mi wyjaśnić cudownego zbiegu okoliczności, pośród których opatrność podarowała mi życie, gdy po kilkumiesięcznych katuszach, zdecydowana została śmierć sądem wojewódzkim. *wojennym*

04.03.1941 rok godz. dziewięta z minutami - początek nieprzerwanej trwającej dokładnie 111 dni katorgi śledczej. W tym dniu zostałam zabrana z pracy i doprowadzona do budynku NKWD w Oszmianie. W ciągu kilku godzin pomieszczenia - cele wypełniły się doprowadzonymi do aresztu kilkunastoma mężczyznami, pośród których rozpoznałam kilka osób bardzo mi bliskich, a z którymi w ostatnich miesiącach związana byłam pracą konspiracyjną. Patrząc na nich, gdy zmaltretowani, brutalnie byli wprowadzani do cel ogarnął mnie głęboki niepokój. Po kilku godzinach popołudniowych załadowano nas wszystkich na odkryty samochód ciężarowy. Pod eskortą kilku uzbrojonych w karabiny i pistolety NKWD-istów, wóz ruszył poprzez miasteczko. Gdy mijaliśmy nasz dom zerwałam się z rozpaczą wołając kilkakrotnie: Mamo, Mamo. Moją odruch spotkał się z gwałtowną reakcją jednego z żołnierzy - pchnięta upadłam na podłogę wozu. Opanowało mnie odrętwienie, towarzyszyło mi stale przez wiele dni.

Dzień był mroźny i śnieżny, okryta lekką jesionką siedziałam skulona na dnie samochodu. Wóz przebiegał się wolno przez zaśnieżoną drogę mijając znane mi miejscowości - Zuprany, Soly, Smorgonie. Po jakimś czasie samochód zatrzymał się nagle, a z kabiny wyszedł znajomy mi kierowca, który zaczął coś majstrować przy tylnym kole. Pomimo, że straciłam zupełnie swobodę orientacji i jasność myślenia, uderzyło mnie szczególne zachowanie się tego młodego mężczyzny. Poruszał się dziwnie szybko wykonując czynności przy pomocy młotka i obcęgi - ruchy jego były gorączkowe a od czasu do czasu wykrzykiwał nie kierując w moją stronę głosu: "co mam powiedzieć rodzicom Fani". Niestety sparaliżowana strachem i niewidomym milczałam. Po kilku minutach zrezygnowany wszedł do samochodu. Był to ostatni na przeciąg wielu miesięcy ludzki gest - ruszyliśmy dalej. Było późne popołudnie, zapadł już prawie mrok, gdy na tle granatowego nieba ukazały się białe mury jakiegoś rozległego budynku - Było to więzienie w Starej Wilejce.

Sledztwo:

Rozładowanie nastąpiło bardzo szybko, nikt z nami się nie cackał. Mężczyźni zniknęli gdzieś w mroku - zostałam sama. Znalazłam się na rozległym dziedzińcu, popychana kołbą weszłam do pomieszczenia, które okazało się prymitywną łaźnią. Poprzez szczeliny wzdłuż desek, wiatr do wnętrza nawiewał śnieg. U góry wisiała na długim kablu zapalona żarówka oświetlającą ostro to ohydne pomieszczenie. Kazano mi rozebrać się, zerwano z szyi łańcuszek z krzyżykiem, odebrano zegarek, który miałam na rękę. Część bielizny osobistej, śniegowce, pończochy uznano jako zbędne o tej porze roku. Na wpół obnażoną pognano na śledztwo do drewnianego budynku oddalonego około 50 kroków od głównego budynku więzienia.

Sledztwo rozpoczęło się od razu w bezwzględnej formie - poczynawszy od personalii i wymuszaniu nazwisk z organizacji. Trwało to około 2 godzin. Do tego pokoju wszedł nagle inny NKWDzista, wysoki brunet z założonymi rękami do tyłu. Porozmawiał szybko z prowadzącym śledztwo odnośnie jego rezultatu i nagle z tyłu ręką tego bandyty padł na mnie cios pięciami, który otoczył moje nagie ciało od pleców do pięty wyrывая kawał skóry. Harap zakończony był jakąś końcówką metalową. Straszliwy ostry ból omal nie pozbawił mnie przytomności, ale drugie, trzecie i czwarte uderzenie wycisnęło ze mnie jęk bólu.

Na noc zaprowadzono mnie do celi na parterze więzienia. Tego widoku gdy tam weszłam nie zapomnę nigdy. Na rozległej pryczy z desek obejmującej całość podłogi siedziała w jakichś dziwnych pozach, na kolanach, w pozycji kucznej podparte rękami - grupa kilkudziesięciu kobiet - z rozmierzwionymi włosami, brudne, cuchnące - z grymasem przestachu na twarzach. Pod pryczą dostrzegłam warstwę śmierdzącej wody. Ten cały obraz oświetlały ostre promienie żarówki.

Sledztwo trwało non stop kilka dni i nocy pośród niewyobrażalnych wyrafinowanych i brutalnych metod. Fizyczne znęcanie się NKWDzistów na podstawie mej obserwacji, pomimo głębokiej depresji, dawało niektórym sadystryczne zadowolenie. Bicie, przypalanie końcówkami rozpalonego prętu metalowego skóry na rękach i nogach / do dziś pozostały po tych torturach blizny/. Zamykanie w brudnym i po kostki wypełnionym kałem pomieszczeniu spotkało mnie kilka razy.

Sześć dni spędziłam w karczerze gdzie podawano co drugi dzień kromkę chleba i zimną wodę. Po osmiu może dziesięciu dniach tempo śledztwa jakby zelżało. Teraz na śledztwo prowadzono mnie co kilka dni w nocnych godzinach. Bardzo częste w czasie śledztwa zza ściany dochodziły odgłosy i krzyki o nieludzkiem brzmieniu wskazującym jakoby katowano więźniów. Czasami wydawało się, że równocześnie krzyki wydaje dwóch lub trzech ludzi. Oprawcy w takich chwilach obserwowali mnie z zimnym uśmiechem. Te godziny w czasie których musiałam wsłuchiwać się w odgłosy dręczonych współwięźniów odbierały mi resztę nadziei i wiarę w siebie.

Wśród żołnierzy NKWD był jeden, który upodobał sobie szczególnie taki rodzaj udęczenia: Gdy krzyki więźniów, odgłosy uderzeń, jakieś głuche huki w ścianę, postępowania nabierały w ~~moim~~ odczuciu zenitu wewnętrznej paniki - powolnym ruchem wyciągał z kabury rewolwer i wpatrując się przenikliwie w moją twarz, kładł go na blacie stołu, podsuwając go coraz bliżej w moim kierunku - oni byli mistrzami udęki psychicznej.

Siedztwo przebiegało teraz nieregularnie, wzywano mnie nocami co kilka dni w nieokreślonych terminach. Zadawano te same pytania niejednokrotnie kilka razy w ciągu jednego posiedzenia. Formy inwigilacji były różne, niekiedy noc przebiegała pośród spokojnie zadawanych pytań. Nierzadko wymuszanie zeznań doprowadzało prowadzącego śledztwo do zachowań pełnych obelg i chamskich okrzyków pod moim adresem. Byłam ciągle pod presją przycięcia tych to bandytów do znęcania się fizycznego.

W celi w której zostałam umieszczona znajdowały się 32 kobiety mniej więcej w moim wieku, młode i pełne uroku na wolności i starsze po 60-ściątce. O wygodnym ułożeniu ~~nie~~ było mowy, siedziałyśmy w różnych pozycjach, brudne, zawszone, zapluskwione, na ogromnej pryczy, która oddzielała nas siedzące od brudnej, śmierdzącej wody na posadzce. To co podawano nam do jedzenia trudno nazwać było pożywieniem. Kromka chleba dziennie z czarną kawą z fusami, zupa na obiad wymieszana z ohydnyimi czarnymi robakami.

Tak ~~wiodł~~ dzień po dniu wśród niepewności i coraz głębszej obawy o siebie, najbliższych, o finał tej katorgi. Nigdy nie pomyślałam, że już niedługo nadejdzie te straszne kilkadziesiąt godzin, których treść przeżyć stanie się fraszką mych obecnych udęk.

Nie pamiętam jaki to był dzień dokładnie - nadszedł już czerwiec może 21 albo 22-gi. Od samego początku tego niesamowitego dnia rytm więzienia był zupełnie inny - rozmowy pomiędzy służbą więzienną nabrały gorączkowego, nerwowego akcentu, czasami dochodziły do celi głosy szybkich dudniących kroków. Jeszcze przed godziną południową zostałam gwałtownie wywołana z celi, popychana jak zwykle kołba. Wprowadzono mnie do rozległego pomieszczenia, w którym za długim stołem siedziało kilku oficerów NKWD a przed stołem grupa kilkunastu mężczyzn otoczona przez uzbrojonych NKWDzistów - Niestety byli to znajomi, moi przyjaciele. Rozpoczęła się rozprawa przewidywana przeżę mnie od momentu przekroczenia progów tego straszego budynku. Była to właściwie formalność - pomimo głębokiego przygnębienia dostrzec mogłam, że ludzi tych którzy nas spędzili kierował jakiś dziwny pośpiech - wyrok był jednoznaczny - śmierć. Pośród kilkunastu mężczyzn ja jedna kobieta - skazani zostali - młodzi, pełni energii, zdolni ludzie - Witold Mutt, Mikołaj Lipiński, Kazimierz Pytel, ~~Kazimierz~~ ^{Tadeusz} Skowroński, Eugeniusz Kościukiewicz, Łazicki, Hass, Wasilewski, Pietkiewicz, Bartosiewicz - tylko tego ostatniego ominęło najgorsze - był to 18-letni chłopak - 10 lat ciężkich robót na Syberii.

Potem mężczyzn szybko wyprowadzono, a mnie wtrącono do karceru, z hukiem zamknięto drzwi, przekrecono klucz. Wszystko to działo się pośród ogromnego zamieszania, odgłosy kroków i chamskich rozmów mieszały się z pośpiesznym tupotem nóg biegnącej służby, trzaskaniem drzwi i bram. Fowoli zapadł mrok, jaśniejący prostokąt nad kbszem ciemniał coraz bardziej, stał się granatowy. Zapadła czerwcową noc.

Ocalenie:

Wpadłam w rodzaj odrętwienia zmieszanego z sennym majakiem. Do przytomności doprowadził mnie strzał z pistoletu, potem drugi, trzeci. Wielki ból ogarnął mnie całkowicie - rozstrzeliwują naszych; liczyłam poszczególne huk wystrzałów. Nie podolałam teraz wyjaśnić, dlaczego to przyszło mi na myśl, może ufałam, że strzałów tych będzie mniej o jeden... dwa. Z zakrytą twarzą dłońmi, wtulona w kąt celi karceru czekałam na moją kolej. W ~~1~~ ^{fakcie} odrętwieniu trwałam całą noc. Fowoli poprzez świetlik nad koszem okiennym poczęła wkradać się poświata słoneczna. Więzienie ożyło nagle w jakiś odmienny sposób. Gorączkowa bieganina, bezładne rozkazy, ogromny hałas, szybkie otwieranie cel, popędzanie na zewnątrz więźniarek - wskazywało na pośpiech połączonej z paniką.

Trwało to dosyć długo, trudno mi to teraz dokładnie określić może dwie lub trzy godziny i nastąpiła prawie dzwoniąca w uszach cisza. Raptem rozległy się pojedyncze szybkie kroki w korytarzu, regularne przystawanie przed celami, charakterystyczny odgłos otwieranych wieżyczek przy drzwiach cel. Odgłos kroków nabral mocy i ktoś zatrzymał się przed karcerem, w którym tkwiłam od kilkunastu godzin. Podniosło się wieczko Judasza, ktoś gwałtownie rozwarł drzwi i krzyknął: "jeszcze adna jest zdziez" i rozkazał wychodzić. Osłabienie nie pozwoliło mi unieść się z posadzki. NKWDzista chwycił mnie za rękę gwałtownie, prawie przebiegł przez korytarz więzienny na zewnątrz. Na zalanym promieniami słonecznymi dziedzińcu grupa znajomych kobiet z tobołkami w rękach klęczała patrząc na mnie z niedowierzaniem i zdumieniem. Żołdak pchnął mnie w sam środek więźniarek - Irka, Irka to ty, więc żyjesz - rozległy się szloch - niesmiałe śmiechy. Szybko zamknęły mnie w samym środku grupy. Wtedy dopiero zrozumiałam, że w jakiś dziwny cudowny sposób ocalałam. Ktoś z gromadki szepnął ostrożnie, podobno Niemcy napadły na Sowiety. To wyjaśniałoby sprawę - bałagan, panika i zapomnienie. Ale dygresje i upojenie się pozorną wolnością trwały niedługo. Grupa NKWDzistów otoczyła nas, rozkazem ze ^{zwata} z klęczek i pognęła szybkim truchtem, traktem w kierunku Połocka. Marsz był forsowany prawie bez przystanków, żołnierze popędzali nas twardo do przodu.

Gdy zapadł wieczór poleciono nam usiąść pod jakimś plotem za którym majaczyły się ciemne zarysy chałup. Zmęczone, skulone jak dzikie zwierzęta, przesiadzialiśmy tak do świtu. Wczesnym rankiem pojawił się nagle konno jakiś NKWDzista, zoiszonym

głosem przeprowadził szybką rozmowę z dowódcą grupy żołnierzy i

- 5 -

zaraz znikł w porannej mgle. Pozostała część żołnierzy też po krótkiej chwili skierowała się w kierunku wschodnim. Tylko jeden, który pilnował marszruty polecił nam wstać, skierować się, o dziwo, z powrotem w kierunku więzienia. Popędzał nas powtarzając ciągle - "kobiety szybciej, szybciej tam będzie wam lepiej". Nieprzytomne ze zmęczenia i głodu do więzienia dotarliśmy w godzinach popołudniowych. NKWDziści bardzo szybko porozdzielali naszą grupę w poszczególnych celach prawie nas ugniatając. Pozamykał cele na klucz potem wyszedł z budynku, przebiegł dziedziniec, zamknął bramę, klucze przerzucił przez bramę i znikł.

Najpierw ogarnęła nas wielka ulga, że więzienie jest bez nadzoru, to było pewne. Przez jakiś czas byliśmy podniecone i oszołomione niewiarygodną okolicznością. Jednak niepokój i przypuszczenia co może się teraz zdarzyć pobudził nas do jakiegokolwiek czynu. Dwa dni nie jadyśmy nic. Po kilku godzinach, te które miały jeszcze zapas sił poczęły walić pięściami w ściany, drzwi, kosze krzycząc o ratunek - to trwało tak jeszcze dwie doby. Dopiero trzeci dzień stał się prawdziwym dniem wolności. Pod więzienie dotarli zwiad niemiecki, trzech żołnierzy na motocyklach. Zgromadzone pod bramą kobiety wyjaśniły Niemcom co to za budynek, jeden z Niemców dostrzegł pęk kluczy leżący na ziemi. Brama i cele zostały otwarte i około 350 zmaltretowanych kobiet znalazło się na wolności. Tym czasem część budynku więziennego osnuta była dymem.

Zbrodnia:

Lecz dla mnie nie było spokoju. Pomimo krańcowego wyczerpania ogarnięta jakąś chorobliwą gorączką zaczęłam przeszukiwać cele z nadzieją, że trafię na jakiś ślad bliskich mi osób. Część więzienia była niedostępna na skutek pożaru. Niestety przecucie mnie nie zawiodło. W jednej z cel na barłogu leżało futro drogiego mi człowieka - straciłam świadomość. Uratowała mnie przenikliwość mej przyjaciółki Aliny Jurginson, która zaniepokojona moją nieobecnością wraz z innymi koleżankami powróciła do więzienia, skąd nieprzytomną wyniesiono mnie na zewnątrz.

W godzinach popołudniowych powróciłam jeszcze raz do więzienia w towarzystwie sędziego, którego nazwiska nie pamiętam, rozpoczynając poszukiwania. Prześledziłam wokół więzienia cały teren. Dopiero w ogrodzie natrafiłismy na wzgórek usypany ze świeżej ziemi obok której leżały znajome mi przedmioty - okulary, filcowa, granatowa czapka. A więc tak chciano zatrzeć ślady zbrodni. Po bezsennej nocy rozpoczęłam starania, aby znaleźć godne miejsce pochówku tych biedaków. Trwało to kilka dni za nim można było przystąpić do prac ekshumacyjnych. Służba medyczna tamtejszego szpitala, była tak przerażona i sterroryzowana działalnością Sowietów, że zdołałam uprosić kilka masek i nosze. Przy pomocy mych koleżanek z więzienia: Aliny Jurginson, Stanisławy Sawickiej, Władysławy Mutt, Gertrudy

Baranowskiej i kilku kobiet miejscowych, udało się nam przenieść

- 6 -

zwłoki na cmentarz i pochować we wspólnej mogile w obecności księdza staruszka, którego nazwisko o ile pamięć mnie nie zawodzi brzmiało - Śnieżko. Nazwiska pomordowanych zostały utrwalone w protokole i dołączone do akt parafialnych. Ten zacny starzec pozostał z nami na cmentarzu tak długo, aż została uformowana i poświęcona mogiła i zapłakał razem z nami.

Powrót:

W pierwszych dniach lipca piesszo, idąc bezdrożami powróciłam do domu w Osmianie, pełna radości na spotkanie z najbliższymi. Tym razem los nie oszczędził moich nadziei i radosnego uniesienia. Dom zastałam pusty, spustoszony, ziejący z daleka czarnymi otworami okien. Część zabudowań gospodarczych zamieniała się w ruinę. Zbliżając się do mego drogiego rodzinnego miejsca, wiedziałam już, że nikt mnie nie przywita - w połowie czerwca 1941 roku cała moja rodzina została wywieziona na Syberię - rodzice, brat i siostra z dwojgiem drobnych dzieci. Powitał mnie tylko z niesamowitym skowytom pies - Burek rzucając mi się na piersi.